

Podwarszawskie Kresy



■ Anna Kamińska 2009-02-08, ostatnia aktualizacja 2009-02-05 17:19:38.0

Według rysunków, które zrobiła, słuchając opowieści babci o życiu na Kresach, wybudowała swój dwór pod Warszawą

Gadać, gadać, gadać! Jeżeli wśród gości zapada cisza, to jest to klęska gospodyni. Minuta ciszy oznacza jej kompromitację. Kiedy do nas przyjeżdżali goście, podawaliśmy zupę rakową albo rosół porowy. Z tego nasz dwór słyna. O dworze koło Stanisławowa Aleksandra Biniszewska słyszała od swojej babci Czesławy Krzemienieckiej-Razumowskiej. - Kiedy podczas uczyt zabrakło lodu, to się biegnęło do rzeki, kroilo lód i wносиło do sklepu. - Jak to, do sklepu? - Tak, Olu, sklep to była u nas piwnica. Tak mówiliśmy.

Dziadkowie Aleksandry mieszkali koło Stanisławowa do 1937 roku. Kiedy zaczęły się kłopoty z Ukraińcami, sprzedali dwór i zamieszkali w Osieku. - Najpierw wzięli Osiek w dzierżawę, a w 1939 roku odkupili go - opowiada Aleksandra. - Babcia miała też mieszkanie przy ulicy Nowy Świat we Lwowie, gdzie spędziła dzieciństwo. Opuszczając dwór koło Stanisławowa, przewieźli do Lwowa część rzeczy - meble, książki - a potem niektóre z nich do Osieka. - To bierzemy, to zostaje, bo jeszcze tu wrócę - płakała do dziadka. Nie wróciła, a to, co zostało na Nowym Świecie, w 1939 roku przepadło.

Czesława Krzemieniecka-Razumowska opowiadała wnuczce o świętach na Kresach. O polsko-ormiańskich wigiliach z lwowskimi pierogami. O resztkach ze święconki, które, tak jak robili to Hucułowie, były zakopywane pod schodami, pod progiem domu. O wiązaniu huculskim zwyczajem czerwonych kokardek nowo narodzonym zwierzętom i przyozdabianiu drzwi brzoźwami gałązkami na wiosnę - Przekazywała też kobiecie zasady - mówi Aleksandra. - Pamiętaj, że prawdziwa dama zmienia perfumy, gdy w jej życiu coś się wydarzy: wyjdzie za mąż czy urodzi dziecko. To ma być jej znak, jak wchodzi na salony.

Jaka babcia była? Nie mogła zasnąć bez książki. Lubiła czytać i przyjmować gości. Kiedy przyprowadzałam do domu jakąś koleżankę, zawsze pytała: 'A z których to?', chociaż wiadomo było, że szansa na to, że zna jej rodzinę, jest niewielka. Czasami potrafiła być złośliwa. Kiedyś, byłam wtedy nastolatką, przyszedł do mnie absztyfikant. Usiedliśmy wszyscy przy stole, babcia podała herbatę w filiżance. Ten chłopak pił herbatę z odstającym najmniejszym palcem. Komentarz babci był taki: 'Jak to dobrze, dziecko, że ty okulary nosisz. Tak to już dawno wyjąłby ci oko'

W lutym 1946 roku przepadł majątek w Osieku zamieniony na PGR. - Po dziadka przyjechało dwóch enkawudzistów i jeden ubek - opowiada Aleksandra. - Babcia go więcej nie zobaczyła. Zamieszkała w Warszawie.

Aleksandra zawsze lubiła rysować. - Kiedyś zaczęłam szkicować babciny dwór. Mówiła mi, jaki był rozkład pomieszczeń, jak wyglądały schody. 'A to przejście gdzie prowadziło, babciu?' 'No, tu się szło, a potem się schodziło tam, większym przejściem'. 'A kolumny były takie?' 'Nie. Tak powinnaś narysować...'. Na podstawie szkiców Aleksandra chciała namalować babci akwarelkę. - Nie miałam pojęcia, że się do czegoś jeszcze przydadzą. Rysowałam ten babciny dwór jakoś zaraz po studiach. Skończyła historię sztuki w Warszawie.

Pierwszy raz Aleksandra pojechała do Lwowa w 1989 roku z mamą. - Chodźmy na Wały Jagiellońskie. A może przejdziemy się Potockiego? Babcia tędy chodziła Nie, pójdźmy Gródecką, bo babcia mówiła, że Mama była zaskoczona, jak dużo wiem o tym mieście. Jej babcia o Lwowie nie opowiadała nic. Żałują do dziś z moją ciotką, że nie miały okazji wysłuchać tego co ja. Należałam do pokolenia, któremu już o wszystkim się mówiło.

Gdy Aleksandra poszła na Politechnikę Lwowską, w holu poprosiła jednego ze studentów, żeby zrobił jej zdjęcie. - Spytał, skąd jestem. Odpowiedziałam, że z Polski, a on: po co tu jestem i po co mi to zdjęcie. Powiedziałam, że studiowałam tu mój dziadek, a wcześniej pradziadek. 'Tu, Polacy?' - spytał zdziwiony. Ja na to: 'Słuchaj, a od którego roku twoja rodzina mieszka we Lwowie?'. On: 'Od 1953'. Ja na to: 'A moja od czterystu lat'. Nie miał pojęcia, że Lwów to polskie miasto. Koło kościoła św. Jura zaczęła ją kulejąca kobieta. - Zapytała, czego szukam. Odpowiedziałam, że oglądam miasto, bo moi dziadkowie w nim mieszkali. Usłyszałam: 'Boże, jak dobrze. Polacy wracają. Będzie czysto, będzie praca!'. Okazało się, że była pokojówką u ostatniego arcybiskupa grekokatolickiego we Lwowie - Szeptyckiego. 'Sowieci jak mnie aresztowali, to zrzucili po schodach' - opowiadała.

- Podczas pierwszej wizyty we Lwowie na targu halickim przekupki nie chciały mnie obsłużyć, jak usłyszały, że mówię po polsku - wspomina Aleksandra. - Odwracały się. To było zabawne: z jednej strony handlarze nie chcieli sprzedawać Polakom, a z drugiej - ze ścian odpadały napisy po polsku: 'Sklep kolonialny', 'Śledzie'. Taki złośliwy uśmiech historii.

Po roku 1989 Aleksandra odwiedziła Lwów jeszcze wiele razy. Za każdym przywoziła jakieś pamiątki, np. starą lampę, znalezioną na śmietniku na Łyczakowie, przedwojenne plakaty teatralne, butelki z mleczarni miejskiej, książki. Jej babcia do Lwowa pojechać nie chciała. Płakała, gdy ktoś ją o to pytał. Zmarła w 1994 roku.

Mieszkali w mieście do 2000 roku - Aleksandra Biniszewska z mężem i synem. - Zawsze chcieliśmy mieć dom i żyć blisko natury - opowiada Aleksandra. - Kiedy postanowiliśmy go wybudować, namawiałam męża na styl dworkowy, ale

nie myślałam, żeby zbudować dwór taki jak dziadków. Wpadły mi jednak w ręce moje stare rysunki. Dom nazwali 'Dwór Biniszewicze'. Bardzo ważny był wybór miejsca. - Chciałam, żeby dom pasował do miejsca, a miejsce do domu. Żeby dom wyglądał, jakby stał tu od dwustu lat - tłumaczy Aleksandra. - Babcia wspominała, że koło ich domu toczyły się jakieś potyczki podczas pierwszej wojny światowej i przypadkowo pociski zniszczyły jeden z alkierzy. Dziadkowie go nie odbudowali. Z mężem postanowiliśmy, że też nie będziemy mieć czterech alkierzy, tylko trzy. Zamiast tego brakującego mamy taras.

Okna są takie jak u dziadków - drewniane, a drzwi do jadalni podwójne. Część mebli pochodzi z mieszkania lwowskiego. Układ pomieszczeń też udało się odtworzyć. Po lewej stronie wchodzi się z holu do antyszambru, czyli poczekalni. Biblioteka zawiera 7,5 tys. książek z najstarszą dotyczącą Kresów i Lwowa z 1830 roku i z tego samego roku 'Jak leczyć lud wiejski'. W salonie galeria obrazów malarzy lwowskich: Pokiziak, Sawczuk, Rybkowski, i zdjęcia dworu babki. W pokoju gościnnym sutanna księdza Mireckiego ze Lwowa, a w jadalni na ścianie tableaux szkoły Żychowiczowej. Kiedyś przyjechała lwowianka i sprzeczała się z panią Aleksandrą, że najlepsza we Lwowie była szkoła Królowej Jadwigi.

Za jadalnią kuchnia. - Gdy organizujemy wieczory kresowe, gotuję kresowe jedzenie - mówi Aleksandra. - Na ostatniej imprezie 'Wigilia na Kresach' był pasztet podolski, śledź po kijowsku i łazanki. Według przepisu babci. Gospodyni przynosi zeszyt z pożółkłymi kartkami. Dostała go od babci, a ta od swojej mamy. - Pierwsze wpisy, mojej prababci, pochodzą z 1911 roku. Mam trzysta przepisów na pasztet - chwali się Aleksandra. - Za każdym razem przygotowuję inny. Sami robimy też nalewki i przetwory. Tylko zaokrąglone schody nie wyszły. Są ścięte. Stolarz nie umiał wyprofilować.

Muzeum jest wynikiem namów Kresowiaków. - Profesor Tadeusz Łodziana z ASP w Warszawie, jak tu przyjechał, powiedział, że pierwszy raz po 60 latach jest w prawdziwym lwowskim mieszkaniu (lwowianie mówią tak na mieszkanie) i powinniśmy pokazywać je ludziom - opowiada Aleksandra. Namawiał też Jerzy Janicki, autor filmów o tematyce lwowskiej. W 2007 roku Biniszewscy na parterze swojego domu otworzyli Muzeum Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Jest zarejestrowane w urzędzie gminy jako instytucja niedochodowa. Biniszewscy nie biorą pieniędzy za zwiedzanie. Jeśli ktoś ma ochotę, może je zostawić na polską szkołę we Lwowie. Jak się mieszka w domu-muzeum? - To jest przede wszystkim dom - tłumaczy gospodyni. - Muzeum zamieszkało w domu, a nie odwrotnie. Musi się więc dostosować. W sobotę jest nieczynne.

Przez rok działalności muzeum przez dom Biniszewskich przewinęły się setki ludzi, choć muzeum nie jest nigdzie reklamowane. Wszyscy dowiadują się o nim pocztą pantoflową.

Aleksandra mówi o zwiedzających 'goście'. Częstoje ich herbatą, nalewką, ciastem. Opowiada o wszystkich przedmiotach. Nie upomina nikogo: 'Nie dotykaj'. W muzeum słychać, jak za oknem pieje kogut. Biniszewscy mają też psy, kozy i konie.

Kresowiaci, którzy tu przyjeżdżają, opowiadają swoje historie. - Starsi pamiętają przedwojenny Lwów. Ostatnio gościłam kombatantów 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty. Opowiadali, co Ukraińcy z nimi robili. Przyjechała kiedyś kobieta z martwą twarzą - bez mimiki. Opowiadała, że gdy miała sześć lat, Ukraińcy napadli na jej dom. Matce podcięli gardło i odcięli piersi, bratu obcięli genitalia i włożyli jej w usta. Kiedy krzyczała, Ukrainiec wziął ją za skórę jak kota i obciął kawałek skóry.

Czy gospodarze nie boją się przyjmować w domu obcych? - Babcia mnie uczyła: 'Zawsze postępuj tak, żebyś, gdy staniesz na górze, miała czysty rachunek. Jak ktoś postępuje nie fair, obciąża swoje sumienie, nie twoje'. Niektórzy wracają do dworu i zostawiają swoje pamiątki. Jeden ze znajomych Biniszewskich zobaczył u nich mały dziecięcy bucik - meszt. Taki sam wypatrzył w Warszawie na Kole. Buty odnalazły się po 60 latach.

'**Jak z Lwowa** wyjeżdżałem, w oczach mi zabłyśli łzy, miasto, które pokochałem nad piękny ty ' - śpiewał zespół Kresowianka podczas 'Wigilii na Kresach' u Biniszewskich. W ciągu ostatniego roku odbyło się sześć kresowych wieczorów: 'Książka i prasa we Lwowie od 1830 r.', 'Wieczór ormiański' z kuchnią ormiańską i ambasadorem Armenii oraz 'Kobieta we Lwowie i na Kresach', podczas którego Marta Lipińska czytała utwór Gabrieli Zapolskiej 'Pani Duńska przed sądem'. Do Dworu Biniszewicze przyjeżdżają artyści i nauczyciele akademicy z Warszawy, Wrocławia, Krakowa. Aktorzy i muzycy występują za Bóg zapłać. Podczas takich spotkań mąż Aleksandry Bogdan Biniszewski zamienia się w parkingowego. Ostatnim razem gospodarze naliczyli 65 samochodów. - Goście czują się u nas tak swobodnie, że wyjadają prosto z garnka - mówi Aleksandra. - Co ja z tego wszystkiego mam? Ulicy we Lwowie to ja z tego na pewno mieć nie będę - żartuje. Dużo pracy mam i rzecz bezcenna. Poznają ciekawych ludzi, mądrych i dobrych. Wieczorów w towarzystwie takich ludzi nie da się przeliczyć na żadne pieniądze.

Anna Kamińska